

## Lekcja polskiego

O Polsko, nasz słodko-gorzki kraju paradoksów. Na Uniwersytecie Jagiellońskim „Solidarność” organizuje sesje naukowe na temat propagandowej nowo-mowy, tej najgroźniejszej z broni tyranów naszego wieku, zaś w Warszawie odbywają się coraz to nowe spotkania i zebrania dostarczające dalszych klinicznych przykładów, że język polegający na dokładnym odwróceniu pojęć i nadal, o ironio, chce uchodzić za narzędzie powszechnego dekalogu. Cóż zatem pozostaje narodowi, w chwili, kiedy – jak wynika z niektórych listów otwartych – niepewne jutro nas wszystkich? Mowa czystych słów, która ocalała.

Jest bowiem największym paradoksem, że Polska rzucana na kolana przez kolejne kryzysy polityczno-ekonomiczne, zawsze potrafiła utrzymać jasne czoło i kark prosty dzięki odwadze społeczeństwa, ale także siłą życiodajnej gleby swej kultury. Ostatnie zwłaszcza lata to czas Polaków.

Jan Paweł II, profesorowie Tatarkiewicz i Dąbrowski, Andrzej Wajda, kardynał Wyszyński – autorytety, do których naród odwoływał się niezmiennie w okresach grozy i przełomu, także w tę trwającą jeszcze godzinę oddzielenia ziarna od plew. I bez wyroków Historii terażniejszość zadecydowała co pisać nam wielką literą.

Do Lublina przybył Czesław Miłosz, aby 11 czerwca 1981 r. otrzymać doktorat honoris causa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. A miasto i uczelnia, tak jak i cały kraj, oddały mu cześć i szacunek jako poecie i człowiekowi, który nie zhańbił się i nie sprzeniewierzył Polsce ni jednym dniem życia mimo, że właśnie w Polsce go nie było. Polacy, jedni wcześniej, inni później doskonale wyczuli tę osobowość i stąd wszystkie dobre uczucia mężczyźnie o posępnej wszystkowiedzącej twarzy Kassandry. W czasie spotkań w Lublinie Czesław Miłosz mówił do nas w zasadzie tyle:

*Do was podnoszę kubek, tu, na scenie,  
Ja głos, nic więcej, wielkiego teatrum  
Przeciwko zamkniętym oczom, cierpkim ustom  
Przeciw milczeniu, które jest niewolą.*

Ten przybysz zza oceanu, wielkiego oceanu społecznej minionej niewiedzy, jakby mimochodem

nauczał swoim chmurnym czołem czystości, dostojeństwa, pokory. Najbardziej odczułem to 12-go czerwca na piątkowym spotkaniu zorganizowanym przez Wszechnicę Związkową MKZ Regionu Środkowo-Wschodniego, na którym społeczność KUL-u i lubelskiej „Solidarności” spotkała się z Czesławem Miłoszem i Lechem Wałęsą, z jednym z nielicznych, którzy się tą prawdą karmili, z której zrobili tak wspaniały użytek. Pierwszego prześladowano za to, że pisał, drugiego za to, że to czytał.

W połączeniu obaj stanowią symbol wieloletniego zniewolenia polskiego społeczeństwa. Dziś, tutaj – w jakże odmiennej sytuacji. Tylko życie mogło wyreżyserować taką lekcję polskiego, tak symboliczną chwilę, w której spotkały się słowo i czyn, przedstawiciele dwóch ramion polskiego odrodzenia, które pan profesor Jerzy Kłoczowski gospodarz spotkania, przez omyłkę, ale jakże znamienne... Czesław... Wałęsa...

Na dziedzińcu KUL 12 czerwca w południe wszyscy, którzy zabrali głos, wyrazili w różny sposób jedno pragnienie: aby duch jedności przepoił wszelkie nasze wysiłki i aby ogarnął całą zdrową tkankę narodu polskiego, który stojąc nad przepaścią jest jednocześnie u progu jakiejś wielkiej szansy, i co najważniejsze- w pełni rozumie już całą złożoność swej sytuacji.

Czesław Miłosz wielokrotnie podkreślał, że najbardziej ceni tych, którzy byli z nim na długo przed przyznaniem nagrody Nobla. Słowa te dotyczą niewątpliwie społeczności Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i być może dlatego poeta pośrodku starych murów, wśród wiernych czytelników był jakby bardziej otwarty, przyjacielski nie tracąc nic ze swej powagi przerywanej raz po raz zdrowym humorem Lecha Wałęsy. Wydawało się, że wie, iż jest wśród swoich, którym czytać należało to, co najprostsze i najgłębsze „Moja wierna mowa”, „Który skrzywdziłeś”, „W mojej ojczyźnie”.

Spotkanie ubarwił spektakl „Mówię do ciebie po latach milczenia” w wykonaniu aktorów z Bydgoszczy (właśnie z Bydgoszczy!). Któż odgadnie myśli poety-wygnańca zaproszonego przez polskie społeczeństwo, słuchającego teraz własnych utworów w wykonaniu polskich artystów, ludzi, którzy wedle założeń władzy nie mieli go znać; a wszystko to w historycznym, momencie na ostrzu brzytwy zaostrej również jego poezją? Wzrok przesuwają się po oknach korytarzy Uniwersytetu okalających dziedziniec z czterech stron: przejęte twarze ludzi rozmaitych – studentów, księży, profesorów, harcerzy, uczniów lubelskich szkół. Trawniki zmaczone pstrokacizną młodzieżowych strojów... Czy przypuszczał, że fragmenty „Gdzie słońce wschodzi...” można czytać aż tak przeszywająco, właśnie tak jak wczoraj zrobił to Mieczysław Voit? Czy przeczuwał, że wiersze W. Sebyły, poety zamordowanego w Katyniu, trafią z nim z Berkley na KUL? Nie wiadomo.

Poeta wstał i jeszcze raz wszedł na scenę, aby odebrać upominki, wśród których była i praca maturalna „Czesław Miłosz – życie i twórczość” i węglowy puchar od górników z MKZ Katowice. Wówczas stała się rzecz zupełnie niezaplanowana, nieprzewidziana i przez to podwójnie przejmująca. Do miejsca gdzie stał poeta przedostał się starszy mężczyzna rolnik i katorżnik II wojny światowej; w sombrero na głowie z pękiem biało-czerwonych kwiatów w kilku słowach opowiedział o sobie i oddał hołd pisarzowi. Miłosz wyprostowany w grymasie bólu i skupienia otworzył ramiona, padli sobie w objęcia, dwie ofiary systemu ten powszechnie znany i ten bezimienny.